

W ciepły przedwieczerek dotarliśmy z kolegą do schroniska. Jego szef – nasz dobry znajomy – układał właśnie drewno na opał. Pomagał mu siwy mężczyzna o zniszczonej twarzy człowieka lasu.

– To jest Władek, czyli Majster Bieda – przedstawił go gospodarz.

Władek przywitał się z nami bez słowa i wrócił do pracy.

– Nie mam dzisiaj żadnych gości – powiedział znajomy. – Weźcie sobie jakiś pokój, a wieczorem pogadamy.

Wybraliśmy jasny pokój od wschodu, bo za dwa dni miały dojechać nasze dziewczyny i chcieliśmy, żeby było miło. Przez te dwa dni planowaliśmy pochodzić po górach sami. Wieczorem zeszliśmy do gospodarza i kolega zapytał:

– Kto to jest ten Władek?

– To tutejszy, bieszczadnik – usłyszeliśmy w odpowiedzi. – Przyjechał tu chyba ze dwadzieścia lat temu ze Śląska i już został. Od wiosny do jesieni pracuje i mieszka gdzie popadnie. Zbiera poroża, jagody i grzyby. Na zimę, albo idzie do wyrębu lasów, bo wtedy ma spanie przy leśnictwie, albo przytula się gdzieś u ludzi. Teraz mam tu kupę roboty, więc mi pomaga i pewnie na tę zimę zostanie u mnie. Góry zna jak nikt. Nawet goprowcom pomaga przy szukaniu zaginionych turystów. Szanują go za to i co roku zapraszają na swoje święto. Jest trochę mrukliwy, ale to dobry człowiek. Znaście tę balladę Wolnej Grupy Bukowina pod tytułem „Majster Bieda”? To jest o nim, ale Władek się do tego nie przyznaje.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę i poszliśmy spać.

Nazajutrz obudziło nas słońce oraz dochodzące zza okna beczenie stada owiec, ujadanie psa i krzyki juhasa:

– Ku owcom, cholery! Ku owcom! Misiek, bier je! – darł się rozeźlony. – Wy mnie, kurwy, nic nie sanujecie! – zakończył.

Ta juhaska skarga wprawiła nas w doskonały humor. Wskoczyliśmy z łóżek i po niedługim czasie szliśmy już w stronę Smereka i Połoniny Wetlińskiej.

Koło Hnatowego Berda dopadła nas burza. Ściana deszczu zasłoniła świat, a pioruny waliły tak blisko, że w nogach czułem mrowienie. Nie było się gdzie skryć. Stać, iść czy leżeć, wychodziło na to samo, bo przemoczeni byliśmy już do suchej nitki, a piorun mógł w nas trafić w każdej pozycji. Szliśmy więc dalej i szczęśliwie dotarliśmy do Chatki Puchatka, gdzie było już kilka innych przemoczonych ofiar burzy. Wyrozumiała gospodyni pozwoliła nam suszyć ubrania i buty przy kuchennym piecu. Skorzystaliśmy z tego skwapliwie i izba napełniła się wnet zapachem nieopisywalnym nawet przez najbardziej giętki język.

Nowy dzień przywitał nas słońcem. Nie zważając na mokre jeszcze buty, ruszyliśmy w stronę Połoniny Caryńskiej i Ustrzyk Górnych. Szliśmy szybko, bo jeszcze dzisiaj musieliśmy wrócić do schroniska, gdzie powinny na nas czekać nasze panie.

Z Caryńskiej zeszliśmy na skróty i turystyczny nos doprowadził nas prosto do baru Pulpit, gdzie – o dziwo – było piwo. Było ono ciepłe i kwaśne jak większość piw w Polsce tamtych czasów, ale było. Prędko wypiliśmy po dwa i ruszyliśmy szosą w stronę Wetliny, wierząc, że ktoś nas podwiezie. Nie jechał nikt. Dopiero na Wyżnej Przełęczy dopędziła nas rozklekotana ciężarówka, ale i ona się nie zatrzymała.

Zmęczeni i głodni dochodziliśmy do Wetliny, gdzie, ku naszej uciechu, zobaczyliśmy stojący na przystanku autobus.

– Gazu! – zakomenderował kolega i ruszyliśmy biegiem.

Byliśmy już blisko autobusu, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nami wopista i zawołał:

– Stać obywatelu! Dokąd to? Dowody proszę!

– Puść nas, człowieku, autobus nam ucieknie! – prosiliśmy.

– Dowody i nie gadać – upierał się żołnierz.

Wyjęliśmy z plecaków nasze dowody, a tymczasem autobus odjechał, ciągnąc za sobą czarną chmurę spalin. Wopista flegmatycznie spisał nasze dane i pozwolił odejść.

Tak to zamiast dziesięciu minut jazdy czekało nas jeszcze dobre dziesięć kilometrów marszu. Słońce było już nisko, gdy dotarliśmy do schroniska. Naszych dziewczyn nie było i wiedzieliśmy, że już wcale nie przyjadą. Byliśmy wściekli.

– Po co zasuwaliliśmy jak idioci z tych Ustrzyk? – furczał kolega, a ja mu wtórowałem.

– Nie wkurzajcie się – uspokajał nas gospodarz. – Władek urządza dzisiaj sześćdziesiąte urodziny i zaprasza całe schronisko.

Wieczorem w jadalni zebrało się „całe schronisko”, czyli: Władek, gospodarz z żoną, jakichś dwoje turystów i my. Jubilat był wygolony, wypachniony i ubrany w białą koszulę. Zaprosił wszystkich do stołu, na którym była swojska kiełbasa, takież chleb i marynowane grzybki, a przede wszystkim około galonowy kanisterek z alkoholem. W czasach kartek na wszystko i wódki od godziny trzynastej było to królewskie przyjęcie.

Pijałem już różne podejrzane alkohole, więc gdy Władek napełnił mój kieliszek, ukradkiem powąchałem jego zawartość. Pachniała wspaniale, a jeszcze lepiej smakowała.

– Toż to iście pański mohorycz – pochwalił napitek kolega, oblizując wąsy. – Skąd masz taki bimberek

i taką zagrychę? – zapytał Władka.

– Władek wie, gdzie takie rzeczy rosną – odpowiedział za niego szef schroniska. – Poszedł do lasu i przyniósł.

Po paru głębszych gospodarz przyniósł gitarę i rozpoczęło się śpiewanie. Po gromkim „Sto lat” na cześć jubilata i kilku turystycznych piosenkach padła propozycja zaśpiewania ballady „Majster Bieda”.

– E tam! Dajcie spokój – zaprotestował Władek. – Zaśpiewajcie lepiej coś lwowskiego.

Nie daliśmy się prosić i przelecieliśmy przez wszystkie lwowskie i niby-lwowskie piosenki, od „Ta sie masz, Jóźku, ta dawaj pyska” poczynając.

Piliśmy i śpiewaliśmy do późna, a koledze i mnie wcale już nie brakowało damskiego towarzystwa. Na-  
zajutrz, jeszcze lekko na rauszu, spakowaliśmy się i przez Sine Wiry ruszyliśmy w stronę Chryszczatej.

Potem jeszcze wiele razy bywałem w Bieszczadach, ale Władka już nigdy nie spotkałem. Często natomiast, w schroniskach lub przy ogniskach, słyszałem balladę "Majster Bieda" i zawsze przy słowach: „Skąd przychodził, kto go znał, kto mu rękę podał kiedy”, uśmiechałem się, wspominając Władkowe urodziny.

Po latach nadszedł, niestety, i taki dzień, że:

„Nie przyszedł Bieda zieloną wiosną,

Miejsce, gdzie siadał, zielskiem zarosło,

I choć niejednen wyteżał wzrok,

Choć lato pustym gościńcem przeszło,

Z rudymi liśćmi, jesieni schedą,

Wiatrem niesiony popłynął w przeszłość

– Majster Bieda.”

Władek spoczywa na cmentarzu w Jasieniu koło Ustrzyk Dolnych, a tabliczka z jego nazwiskiem wisi tuż pod podkową na Zakapiorskiej Kapliczce w Cisnej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 06.04.2022 19:03

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).